

Helena Majewska — Widok Rzeszowa. Praca wyróżniona w konkursie plastycznym pod hasłem „Ziemia Rzeszowska w minionym szesnastolecu” foto Z. Postępski

Andrzej Świecki

Propedeutyka kultury

Nie od dziś słychać narzekania na niezwykle słabe przygotowanie młodzieży do świadomego przyjmowania dzieł sztuki. Niedocenianie przez długi okres wagi wychowania estetycznego sprawiło, że dziś w salach koncertowych rzadko spotyka się młodzież, wystawy nie cieszą się wśród niej zbyt dużym powodzeniem, a teatry narzekają na brak młodych widzów.

Toteż słuszne są głosy tych, którzy domagają się od zreformowanej szkoły położenia większego nacisku na kształcenie estetyczne młodzieży przez maksymalne wydobycie treści estetycznych w nauczaniu poszczególnych przedmiotów.

Wychowanie estetyczne nabiera szczególnego znaczenia właśnie w nowej szkole, zważywszy na zasadniczy kierunek zmian, jakich oczekuje się od zreformowanego szkolnictwa, a mianowicie — zbliżenie go do życia i wprowadzenie politematyzacji nauczania. Położenie nacisku na „stecznicowanie” nauki może spowodować jednokierunkowe kształcenie uczniów, a w rezultacie pogłębienie niezadowolającej sytuacji w zakresie tzw. konsumpcji kulturalnej przez młode pokolenie.

W konsekwencji, przy zachowaniu status quo w nauczaniu i wychowaniu estetycznym, w dalszym ciągu narzekać będziemy — na przykład — na nieestetyczność wykonanych przedmiotów użytkowych, na brak poczucia piękna u projektantów miast i osiedli.

Niewątpliwie problem złożony i szczegółowa analiza każdego ze składających się nań czynników zajęła by zbyt dużo miejsca. Niecelowe byłoby także przypominanie, jakie to możliwości oddziaływania w kierunku wychowania estetycznego drzemia w programach nauczania tzw. przedmiotów artystycznych. Warto jednak nieco dłużej zatrzymać się nad sprawą szczególnie istotną — nad możliwością przekaza-

nia młodzieży bogactwa tradycji i form artystycznej działalności człowieka.

Nie można bowiem w pełni zrozumieć np. obrazu malarstwa, skoro odbiorca nie wie o historycznych przesłankach, które złożyły się na jego powstanie, skoro nie umie ocenić tematu i wartości obrazu. A przecież malarstwo wraz z architekturą, rzeźbą, grafiką stanowią podstawowe gałęzie sztuk plastycznych.

To samo da się powiedzieć o muzyce, która, przy odpowiedniej postawie odbiorcy, oddziałuje nie tylko na uczucia, lecz także na intelekt. Zrozumienie jednak muzyki współczesnej — utworów takich twórców, jak Debussy, Ravel, Strawiński, Prokofiew, Bartók, Szymanowski i innych — wymaga znajomości form i utworów muzycznych powstałych w innych okresach i epokach z tych chociażby względów, że współcześni kompozytorzy wszechstronnie wykorzystują formy muzyczne przeszłości.

Wiadomo także, że w dziełach sztuki przejawia się nie tylko indywidualny talent artysty, lecz także i cechy stylowe charakterystyczne dla poszczególnych okresów rozwoju sztuki. Niezbędne więc wydaje się zapoznanie ucznia z ogólnymi zjawiskami epok — średniowiecza, baroku, klasycyzmu, romantyzmu i in.

Te ostatnie elementy ogólnej wiedzy o epokach historycznych są ściśle uwzględniane i w obecnie obowiązujących programach. Tylko, że „przyczepiono” je do takich przedmiotów, jak historia i język polski, co w konsekwencji nie spełnia zadania, ponieważ wykładowcy tych przedmiotów starają się z bogatego materiału wykorzystać tylko takie elementy, które pozwolą wyjaśnić młodzieży najtypowsze odbicie zjawisk tych okresów w literaturze i historii. W rezultacie, młodzież poznaje tylko namiastkę tre-

ści, które dominowały w życiu artystycznym danej epoki.

Stawiając pewne postulaty pod adresem nauczycielstwa zreformowanej szkoły, trudno wymagać, by omówione zagadnienie stało się przedmiotem nauczania na lekcjach rysunku, śpiewu czy prac ręcznych. Zawsze bowiem w takim przypadku traktowane będzie marginesowo, jako ilustracja bądź „podkład” do przerabianego na lekcji zadania. Ważne jest natomiast to, by właśnie lekcje przedmiotów artystycznych stały się ilustracją do zobrazowania bogactwa form artystycznych występujących w różnych dziedzinach i epokach twórczej działalności człowieka.

Wszystko więc przemawia za wprowadzeniem do szkół nowego przedmiotu, który zawierałby niezbędne wiadomości z zakresu architektury, muzyki, malarstwa, rzeźby — elementy z zakresu historii sztuki. Coś w rodzaju „propedeutyki historii kultury”.

Kto wie, czy przy głębszym zastanowieniu się nad tym problemem nie dojdziemy do wniosku, że tak jak politematyzację nauczania, tak i rozszerzenie form oddziaływania estetycznego szkoły na młodzież — postulujemy życie.

Realizacja tego projektu na pewno napotykałaby na szereg trudności — np. zapewnienie kadr wykładowców „historii kultury” oraz ustalenie zakresu programowego tego przedmiotu. Jest to już jednak zagadnienie dalsze. Ważne jest natomiast, by postulat wprowadzenia do szkół „historii kultury” został poddany pod szerszą niż dotychczas dyskusję. Niewątpliwie zabiorą w niej głos ludzie bezpośrednio zainteresowani w podnoszeniu na wyższy poziom kształcenia estetycznego oraz nauczyciele, ucący w szkołach przedmiotów artystycznych.

Wiesław Kullkowski

Rzeszowszczyzna

Odlotem studziennych żurawi zakwitają drogi
jadą niebem sady sanockie.
Podkarpackie naftowe gwiazdy
jak drogowskazy moje

W sercu Bieszczad zbiera ptak ślady wojny
Wypłowił żołnierskim płaszczem opadają liście
na krzyże dukielskich okien.
Zakwitają tutaj po raz drugi czereśnie.

Od Wielowsi rzewnej do Gwoźnicy
wiozą słowa pociągi moje gwiazdne



Józef Kurylak

Nie kwiaty mrozu

to nie są kwiaty mrozu
powtarzane barwami we śnie
to rośnie rośnie nocą
wizualna muzyka na szkle

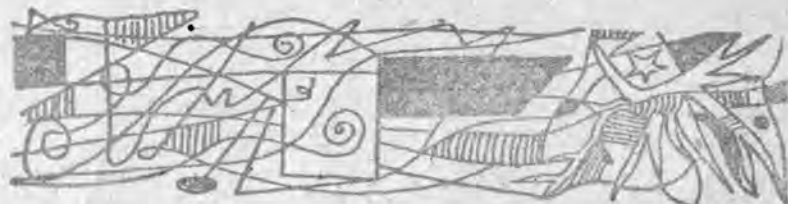
bańka ciszy rozbita
na zastępy niewidzialnych drgań
krąży nad czarną płytą
kształtem skrzypiec, które gasi mgła

szare kolumny estrad
prężą koncert u kamiennych szyb
gwiazdą ognia orkiestra
gwiazdą orkiestr atomowych grzyb

widzisz tu werbel bęben
nocny sygnał jak czerwona ręk
drzewa zmierzchu rozdęte
w każdym kłosie gest złamany śmierć

to nie są kwiaty mrozu
sztywniejące na kikutach nut
to rośnie rośnie nocą
pięć kamienna — spadający bunt

1961



Jan Gryglel

Poszukiwanie

Przymierzamy ton skrzypiec do wieży Eiffa — gałązkę dymu do drabiny Jakubowej. Błądzimy w zaroślach słów. Gdzieżecie gwiazdy wzruszeń? — szukamy was. Gdzie metafory błyskawice, by rozdarły ścianę clemności?

Na blejtramach płoną w zorzach barw otoczki przedmiotów. Poczekajmy na zgłiszczą. Może jądro rzeczy w popiołach jak diament rozbiśnie?

Gejzery muzyki tryskające ku światłu opadają w mrok. Obrazy kłamią o wymiarach świata. Słowo nie staje się ciałem.

Uśmiechajmy się dalej do ptaków i kwiatów. Wstupujmy w niebo za śpiewem skowronków. Może to się da ukryć?





Zima w powiecie łeskim

foto: M. Kopeć

Wincenty Zawirski

Droga wiedzie na południe

Droga wiedzie na południe. Grudniowy zmierzch szybko zaciemnia odalające się kontury rzeszowskich wieżowców. Zamazany deszczem krajobraz, dający o sobie znać tylko rozrzuconymi w nieładzie światłami nastroja do filozofowania i pocienia.

W tej chwili jedziemy do Dynowa. Do dorobku przebytych kilometrów znów trochę dołożymy. Kuba (Jerzy Witowski) np. ma na swoim koncie około 200.000, ja o połowę mniej. Kto wie, czy gdyby nie ów przysłowiowy bakcyl teatralny, nie jeden z nas dzwigałby dziś sztangi, lub boksował z dużo większym uznaniem tłumów i większą satysfakcją materialną niż teraz, gdy obwozi po wioskach i miasteczkach rzeszowskich „Indyka” Mroźka. Byłoby to przecież także deski.

Znajoma remiza strażacka wita nas ogrzaną, mieszającą się na piętrze widownią, na której nikt z widzów i tak nie zdejmie wierzchniego okrycia oraz przejmującą zimną garderobą o niedomkniętych oknach. Na widowni 70 martwych twarzy słuchających Mroźka jak tureckiego kazania i reagujących, jak pe-

wna pani z Rzeszowa, pozująca na intelektualistkę, tylko na czteroliterowy dowcip opowiadany przez kapitana — Jurka Mędrkiewicza. Rany boskie gdzieś przyjechali!

Wracamy. Rzeszów z piramidą światła wygląda z dala jak milonowe miasto.

Byłbym krańcowym pesymistą, gdybym się tylko ograniczył do kolekcjonowania w pamięci samych przykrości. W Mielcu, gdzie odwołano drugi spektakl i to podobno po wykupieniu 150 biletów przez tamtejszą inteligencję (patrz Dynów) mieliśmy przyjemność rozmawiać z pewnym dziewczęciem, na pierwszy rzut oka nie zwracającym na siebie niczym uwagi. Po prostu przyszło do nas do autobusu, po pierwszym przedstawieniu, z prośbą o podwiezienie jej do odległego o 10 kilometrów domu, gdyż nie ma już żadnego środka lokomocji, a my w pobliżu będziemy przejeżdżać. W dalszej rozmowie okazało się, że bywa na każdej sztuce rzeszowskiego teatru, zna wszystkich aktorów, wie co i w czym grał, czytała Mroźka poczynając od „Półpancerzy praktycznych”, a kończąc na przekrojowych „okularach”, z zainteresowa-

niem oczekuje „Skandalu w Helbergu” Broszkiewicza, którego „Imiona władzy” oglądała.

Proszę mi wierzyć, że dla jednego takiego widza przyjemniej ponieść największy trud, niż dla nic nie rozumiejącego kompletnie widowni. Jak widownia obserwuje nas, tak my obserwujemy widownię. I niejednokrotnie stwierdzamy, że od pierwszego gongu do zapadnięcia kurtyny, każde słowo trafia w próżnię. Przykre uczucie bezcelowości i daremnej pracy. Tak było w Jasle na przedstawieniu dla PSS, uczczonym obecnością dwóch pijanych pracowników „Domu Książki” z Rzeszowa, tak samo na przedstawieniach dla nauczycieli, dla których Mroźek i współczesna poezja, to filozoficzne zagadnienia z wyższej matematyki. Zresztą, gdy widzę nawet bawi się, to reakcja jego na to co się dzieje na scenie, często jest wręcz zaskakująca. Oto przykład z Przeworska, gdy na życzenie Laury, by Rudolf zostawił ją w spokoju, Rudolf odchodzi, z widowni padły słowa: ale zrobiła go na... (tu doleciało naszych uszu bardzo męskie niecenzuralne słowo). Reakcja niby prawidłowa, ale czy koniecznie akurat taka? Z trudnością opanowaliśmy śmiech.

Mimo że w Warszawie „Indyk” jest wystawiony na scenie eksperymentalnej, nie chcę twierdzić, iż publiczność Rzeszowska, nie dorosła jeszcze do oglądania tego gatunku sztuk. Rozmawiałem z wieloma widzami, dla których „Indyk” był jak najbardziej zrozumia-

ły. Muszę tu z uznaniem wspomnieć o znakomitej publiczności Krosna, Sanoka, Kolbuszowej, Lubaczowa, Sędziszowa i Mielca, a także i szczególnie o tej z paradyżu. Tam najczęściej kierujemy wzrok, a brawa, stamtąd są nam najmiłsze, gdyż tam właśnie spotkaliśmy się pierwszy raz z teatrem. Szkoda, że w powyższym wykazie zabrakło Przemyśla, zainteresowanego Mroźkiem przez tamtejszy teatr amatorski „Fredrem”, ale tu już nie ma winnych. Po prostu do Przemyśla nie zdążyliśmy przyjechać marnując czas na miejscowości nieprzygotowane do gimnastyki intelektualnej podczas odbioru sztuki.

Ponieważ nie mam zamiaru narzekać, powracam do spraw pogodnych. Do Krosna przejeżdżamy jak do starych wypróbowanych przyjaciół. Jednym z nich, witającym nas zawsze szerokim rozwarciem ramion i asystującym każdemu przedstawieniu w kabinie elektryka, jest kierownik Domu Kultury, pan Łącki. Z satysfakcją się gra, widząc skupione twarze członków jego zespołu teatralnego, zapalnających wolne miejsca w orkiestrze. Stara nasza honorowa publiczność. Tak samo jest w Jasle.

Pracując w różnych warunkach zych i dobrych jesteśmy świadkami i autorami wielu anegdot. Ponieważ nikt z nas nie jest jeszcze mistrzem aktorstwa, więc i anegdoty nie są znane szerokiej publiczności. Obiecuję w niedługim czasie podać je do wiadomości.

cza widoczność na dalszą metę. Ludzie nie przywykli do marszu w terenie górzystym, męczą się szybko, idą ciężko i powoli.

Po dwu godzinach są prawie u celu. Kilkaśmet metrów przed nimi rozpościera się półkolem las. Bandyci mieli uciekać jego prawym skrajem i w tym kierunku zwraca się tyraliera.

Żołnierze są już jakieś 200 metrów od drzew, gdy nagle z gę-

trzonych, ciekawych pozycji Trzeba będzie poczekać na wznowienie.

Najliczniej były reprezentowane na naszych ekranach filmy radzieckie, których było w 1961 roku 53, następnie nasze krajowe — 29 (brawo! — przeciętnie już po 2 obrazy w miesiącu!) oraz francuskie — 18.

Wszelkie rekordy frekwencji biją nadal „Krzyżacy” Aleksandra Forda — film, który w roku bieżącym obejrzało 430 tysięcy widzów. Z obrazów zagranicznych największą karierę zrobił prawdopodobnie „Wojna i Pokój” Kinga Vidora, którą w ciągu niepełnych 2 miesięcy obejrzało ponad 36 tysięcy osób.

Podczas Festiwalu Filmów Polskich we wrześniu zanotowano w kinach województwa 526.417 widzów, a w okresie Dni Filmu Radzieckiego w listopadzie — 398.764 widzów.

Z ogólnej cyfry 7 mln tegorocznych widzów kinowych większość, bo 3.600 tys. to widzowie na filmach polskich, radzieckich i krajów demokracji ludowej.

Tyle statystyka. Na marginesie cyfr trzeba jednak zwrócić uwagę na to, iż rok 1961 cechował dalszy postęp w modernizacji kin, dbałość o wygodę widza i estetyczny wygląd sal projekcyjnych. Poprawiły się także znacznie warunki samej projekcji, a filmy szerokoekranowe docierają do coraz szerszego kręgu widzów.

CWF i WZK zatroszczyły się także o dodatkowe atrakcje dla publiczności. Na premierze filmu „Ogniomistrz Kaleń” gościliśmy w Rzeszowie jego autorów, małżeństwo Petelskich. Miesiąc później na terenie województwa przebywała delegacja filmowców radzieckich. Organizowano liczne konkursy i imprezy.

Dalszy duży postęp notujemy w reklamie i propagandzie filmowej. Interesujące wydawnictwa, ulotki oraz pomysłowo opracowywane przez plastyków plany sceniczne, no a w Rzeszowie słynna iglica — zwracająca uwagę społeczeństwa, pobudzająca jego zainteresowanie i w efekcie zwiększającą frekwencję w kinach.

(w. sz.)

25 MAJA 1945 r. mocą uchwały KRN powstaje Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego — formacja wojskowa powołana do zwalczania zbrojnego reakcyjnego podziemia. KBW razem z jednostkami linowymi WP, Milicją Obywatelską i pracownikami władz bezpieczeństwa wniosła wielki wkład do likwidacji band dezyorganizujących pokojowe życie kraju, mordujących działaczy partyjnych i społecznych, chłopów biorących ziemię z reformy rolnej, band usiłujących terrorem podsycać nastroje niepewności i niepokoju. W szeregach KBW, obok żołnierzy frontowych, znaleźli się członkowie PPR i ZWM, którzy z bronią w ręku postanowili bronić młodej władzy ludowej.

Szczególną rolę odegrała wojska KBW na terenie województwa rzeszowskiego. Za zasługi bojowe jedna z jednostek KBW otrzymała nazwę jednostki Ziemi Rzeszowskiej. Groby żołnierzy tej jednostki rozsiane są na południu i wschodzie Rzeszowszczyzny. Ci, którzy przeżyli, pracują dziś w różnych gałęziach naszej gospodarki, bądź też uczą i wychowują młode pokolenie żołnierzy. Właśnie od nich, weteranów walk z bandami UPA i reakcyjnego podziemia polskiego uzyskaliśmy garść epizodów z lat 1946-47, które dziś przekazujemy naszym czytelnikom.

POD ŚNIETNICĄ

Pogoda była w tym grudniowym dniu takowa, jaka była. Z nieba ciał ułanów deszcz ze śniegiem a porwyści wiatr bez trudu przni kał liście, wojskowe płaszcze. Kułac się z zimna, żołnierze kompanii chorążego Stanisława Jamżury śpiesznie ładowali się na samochody. Za kilka minut mieli wyruszyć na akcję w pościg za bandą,

W 20-LECIE PPR KABEWIACY W WALCE

W. SZYMCHYK

która zaatakowała Śnietnicę, spaliła szkołę, posterunek MO i ograbowała mieszkańców wsi.

Ochraniając wyloty kuf przed zmoknięciem, wojsko szybko sadowiło się w pudłach ciężarówek. Chłopcy pokurczyli się, posiadali blisko siebie, chcąc ratować pozostałe jeszcze reszki ciepła. Był to przeważnie młody rocznik nieostrzelany i niedoświadczony. Jak rodzynki w cieście tkwiły w tej masie stare wygi z I Armii, zdobywcy bunkrów i umocnień osławionego Waju Pomorskiego. Ale i oni, którzy bądź co bądź nieraz walczyli — tutaj często byli bezradni. Nie było przecież linii frontu, nieprzyjaciół atakował zniemacka, zadawał straty i uchodził nie przyjmując walki. Nie wiadomo było kiedy i gdzie uderzy znów.

W drodze z Gorlic do Śnietnicy jeden z samochodów popsuł się i na miejsce dojechały tylko 4 maszyny. Zatrzymały się one w odległości półtora km od wsi, do której nie było już po co jechać. Ze szkoły i posterunku został tylko popiół i zgłiszcz, szczęściem milicjanci zdążyli uciec z życiem. Banda uprowadziwszy zrabowane mieszkańcom konie i krowy poszła w las.

Ktoś z miejscowych, jakiś leśniczy, wskazuje kierunek i ostrze-

je się jako przewodnik. Pluton kompanii w szyku bojowym ruszają na południe, gdzie ma ukrywać się banda. Zaledwie uszli parę kroków, gdy w powietrzu rozległ się jękliwy dźwięk cerkiewnych dzwonów. Jakis sprzymierzeniec bandy w Śnietnicy dawał znać o przybyciu wojska.

Pogoda nadal nie dopisuje. Z nieba siąpi bez przerwy, a ściągająca się po wzgórzach mgła ograni-

cza widoczność na dalszą metę. Ludzie nie przywykli do marszu w terenie górzystym, męczą się szybko, idą ciężko i powoli.

Po dwu godzinach są prawie u celu. Kilkaśmet metrów przed nimi rozpościera się półkolem las. Bandyci mieli uciekać jego prawym skrajem i w tym kierunku zwraca się tyraliera.

Żołnierze są już jakieś 200 metrów od drzew, gdy nagle z gę-

stwiny wytryska seria z karabinu maszynowego. Jedna, druga, a potem rozpętuje się istne piekło. W powietrzu krzyżują się serie z niemieckich — Maschinenwehrow, pistoletów maszynowych i pojedynczych pocisków karabinowych. Na kompanię, która zapadła w szczytnym polu, posypała się nawała śmiertelności ołowiu i stali.

Żołnierze znaleźli się w ogniu krzyżowym, gdyż bandyci strzelali nie tylko z prawego, ale i z lewego skraju lasu, skąd się ich zupełnie nie spodziewano. W najcięższej sytuacji było prawe skrzydło kompanii, które podeszło najbliższej lasu. Bandyci ukryci za drzewami widzieli żołnierzy jak na dłoni. Na tę odległość mgła pozwała na to i nie dawała naszym żadnego schronienia. Ogień był tak silny, że część żołnierzy nie wytrzymała i ostrzeli-



Amo — znaczy kocham

Kto styka się bliżej z amatorskim ruchem artystycznym wie, że znaczna część zespołów prędzej czy później dotknięta zostaje trudną do uleczenia chorobą przedwczesnego wędnięcia.

Znane to sprawy. Codziennie przychodzi borykać się z nimi niemal każdemu zespołowi amatorskiemu.

Mimo to, Rzeszowszczyzna chlubi się posiadaniem szeregu znanych amatorskich teatrów, niekiedy od kilkudziesięciu lat prowadzących nieprzerwaną pracę.

Jubileusz dziesięciolecia pracy obchodzi właśnie Teatr Amatorski Zakładowego Domu Kultury Huty Stalowa Wola.

Nieczęsto przychodzi stykać się z zespołem, który by w sposób tak konsekwentny dawał swojej widowni okazję wzbogacania wiedzy o

przeszłości kulturalnej. By uczyć patrzeć na teatr z prawdziwego zdarzenia. Składa się na to szereg sprzyjających czynników. Jednym z najważniejszych jest wyjątkowa atmosfera stalowowolskiego środowiska, charakteryzującego się zrozumiem, mianem zadań, jakie winna spełniać placówka kulturalna, wysokim stopniem zaangażowania grona osób nadających tej pracy kształt artystyczny.

Dorobek zespołu to długa lista utworów, na której poczesne miejsce zajmują dzieła polskiej i obcej klasyki — „Kraśniacy i Górale”, „Zemsta”, „Mazepa”, „Grzegorz Dymala” — Moliere, „Zielony Gil” — Tirso de Molina. Wspomnijmy jeszcze „Igraszki z diabłem” Jana Drdy, „Zaczarowane koło” — Rydla.

Wysoką rangę artystyczną zyskał

zespół dzięki niezwykle staranności w realizacji poszczególnych utworów, dbałości o każdy szczegół, kulturze wykonawczej, starannej oprawie plastycznej.

Szczególnie cenne są podejmowane próby przyswajania współczesnej dramaturgii polskiej (Swinarski, Wydrzyński, Lutowski). Przykładem zestrojenia zainteresowań scenicznych zespołu z problematyką żywotną w miejscowym środowisku jest wystawienie „Sprawy rodzinnej” Lutowskiego.

Zespół ma do zanotowania blisko czterysta przedstawień. Przeciętnie każda ze sztuk grana jest do dwudziestu razy. Bardzo częste są wyjazdy do małych miejscowości, do wiosek. Wspomnieć warto o stałej wymianie prowadzonej z Domem Kultury w Ostrowcu Kieleckim.

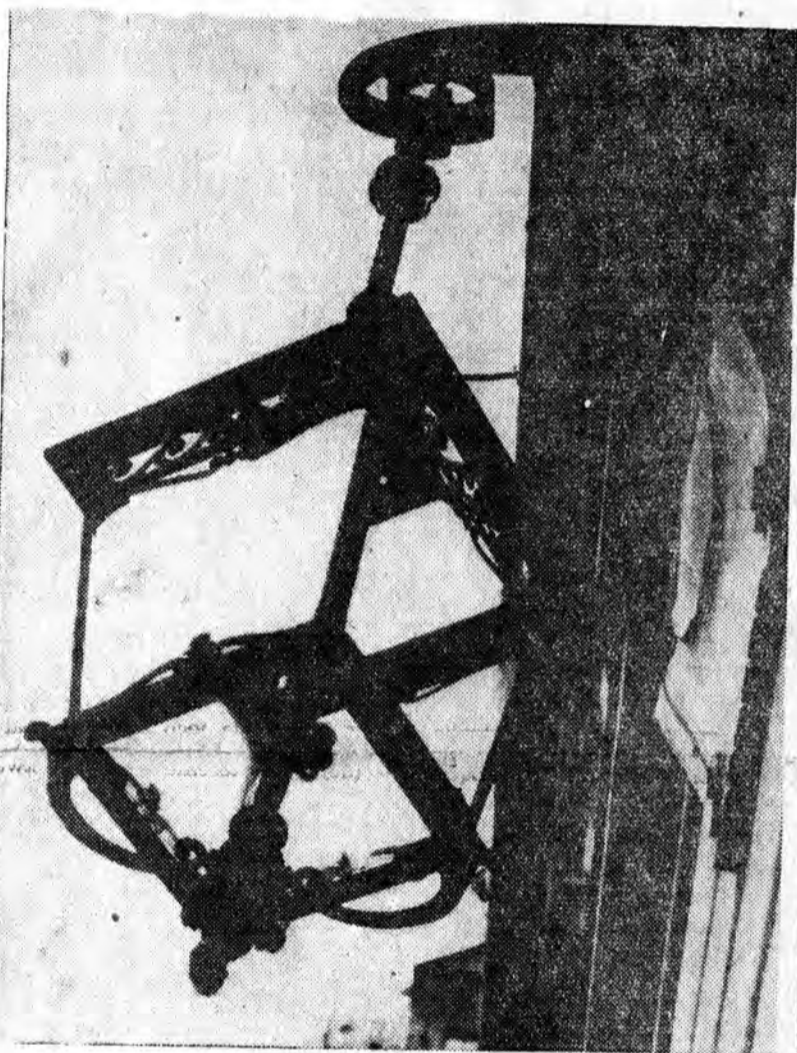
Nie do pomysłenia byłoby obraz dotychczasowej pracy zespołu, gdyby nie ludzie, którzy swemu teatrowi poświęcają czas wolny od pracy zawodowej. Na braku zdolnych czy nawet wybitnie i wielostronnie utalentowanych wykonawców zespół nie może narzekać. Nie tak dawno dwaj zasłużeni jego członkowie Stanisław Chrusciel i Marian Berzek w rolach Rejenta Milczka i Cześnika Raptusiewicza obchodzili dwudziestopięciolecie pracy w ruchu amatorskim. Do młodszych pokoleń należą: Ryszard Brymara, Tadeusz Berłowski, Tadeusz Grabara. Ten ostatni jest zarazem autorem kilku interesujących opracowań scenograficznych. Z aktorek wymienimy Lucynę Horecką, Marię Tomaszewską. Oczywiście nie wymieniamy wszystkich.

Kierownikiem zespołu, reżyserem a zarazem jednym z jego aktorów jest znany działacz ruchu amatorskiego Józef Żmuda. W osiągnięciach amatorskiej sceny w Stalowej Woli zawarty jest poważny wkład już nie wysiłku, ale jak najbardziej osobistego zaangażowania się jego kierownika w ideę artystycznej pracy amatorskiej. Józef Żmuda jest przykładem twórczo pracującego reżysera wyczerzonego na potrzeby widowni, dla której tworzy razem z całym zespołem, jest przykładem umiejętnego inspiratora przedsięwzięć, które realizowane są na scenie Domu Kultury.

Piękny dorobek pozwala postawić zespół w rzędzie najlepszych amatorskich teatrów w skali krajowej.

Amo — znaczy po łacinie KOCHAM. Tych dziesięć lat pracy jest przykładem takiego właśnie umiłowania sceny przez grono ludzi tworzących Teatr Amatorski Zakładowego Domu Kultury Huty Stalowa Wola.

Wiesław Głowacz



Latarnia

foto: M. Kopeć

Czesław Piotr Kondraciuk

Odpywanie czasu

Nie mierz mnie wielkością echa
jestem odpywaniem czasu
który codziennie spod palców ucieka
w krzywym dróg topiąc swoje — ja,
jestem pęknięciem ziemi
marmurowym połyskiem skib
trzaśnięciem bicia
nad pochyloną głową konia
plug czasu
wyorał mi świeży chleb
którego kromkę trzymam w dłoni
i jem

A czas odpywa
odpywa

z przystani
ja też odpywam — nie warto stać
więc nie mierz mnie wielkością echa
a raczej czasu odpywania
posłuchaj —
tak będzie lepiej.

1961



Jerzy Walawski

Krawędź

pozostawieni samym sobie
wolni od ludzi i zwierząt
martwych i żywych
od wczoraj i dziś
od czasu i światła

pozostawieni bez tłumaczeń
oślepiąco wolni
stajemy na krawędzi
samych siebie
Przecina nas ta krawędź



Franciszek Zawadzki

Świt

Przed świtem
poruszają się kamienie
drżąc dłoń
odslania
wielkie niebo
sypie się popiół z drzew
wygasłych
na popękany marmur ziemi
z horyzontu odrywają się ptaki
niespokojne
czarne

Wincenty Zawirski

Jesienny nastrój

z ulic mi smutno patrzy jesień
i nie wiem czy to czy szaruga
znad domów skrawek nieba niesie
wcześniejszy zmierzch na deszczu strugach

drzewa bezlistne drżą samotnie
(kiedyż ich zieleni będę śledzić)
a zabłąkane ptaki w oknie
jak spatyniałe rzeźby z miedzi

znajomi nawet mniej widoczni
przechodzą mimo jacyś niemi
szarość wilgotna po głab oczu
jakbym się schylił niżej ziemi

i rozsypana w krąg na wietrze
zamokłych liści żółkła zieleni
to w krajobrazie coraz bledszym
jesień na miasto smutek ściele

1961



wując się zaczęła odchodzić do tyłu.

Dowódca kompanii nie traci jednak głowy. Zdaje sobie sprawę, że cofnięcie się to śmierć. Trzeba by odchodzić do tyłu na wzgórze, za którym żołnierzy wystrzelano by jak kaczki. Szybko orientuje się, że ogień z lewej strony jest silniejszy i decyduje się przebić w tym kierunku. Podrywa żołnierzy i uderza na lewy skraj lasu.

Bandyci stawiają rozpaczliwy opór. Dowódca lewoskrzydłowego plutonu, chorąży Walczak, widzi nagle, jak biegnącemu obok erkaemście odpada do tyłu kawałek czaszki wraz z kępą włosów. Żołnierz idzie jeszcze dwa, trzy kroki nie przerywając ognia ze swego „Diechtariewa” i wali się na ziemię.

Pada zastępca dowódcy plutonu do spraw polityczno-wychowawczych, plutonowy Sztreker, uprzednio żołnierz IV Dywizji Piechoty, który szczęśliwie przeszedł przez ogień niemiecki z bunkrów pomorskich, by paść w boju na ziemi gorlickiej. Pada szeregowiec Iglicki i czterech innych żołnierzy.

Pozostali jednak z impetem wpadają do lasu i odrzucają siedzących w nim bandytów. Między drzewami drepczą przerażone krowy i konie — porzucone bandyckimi łupami.

Ale z tyłu już idzie na pomoc swoim pozostała część bandy. Ta która tak zaskoczyła prawe skrzydło kompanii. Żołnierze przechodzą więc przez krótki wycinek lasu, wychodzą na pola w kierunku Śnieżnicy i tu nad małym potoczkiem zajmują stanowiska.

Banda próbuje atakować raz i drugi, ale mimo przeszło dwukrotnej przewagi liczebnej — bezskutecznie. W otwartym polu nie czu-

ją się tak pewnie jak za drzewami, a ogień żołnierskich km-ów i automatów szerzy w jej szeregach panikę i spustoszenie.

Walka, która rozpoczęła się około godz. 13 trwa już ponad 3 godziny. Kiedy zapada zmierzch, żołnierzom zaczyna już brakować amunicji. Szczęściem nadjeżdża z Gorlic tankietka dowódcy batalionu, która swoim ogniem powstrzymuje bandę od dalszych prób natarcia. Drugiego dnia nadchodzi pomoc. Oddziały KBW ruszają w dalszy pościg za bandą.

NA MINACH

Scigane przez wojsko oddziały UPA często chroniły się za granicą po stronie czechosłowackiej, a kiedy zaczynała deptać im po piętach czechosłowacka straż graniczna uciekały na stronę polską. W tej sytuacji dowództwo wojsk polskich i czechosłowackich zawarło porozumienie; kiedy Polacy „przechwytują” teren, Czechosłowacy obstawiają granicę, i na odwrót — kiedy nasi południowi sąsiedzi organizują oblężenie, oddziały polskie pilnują, by nie przekroczyła jej żadna banda.

Tym razem „przechwytanie” dokonywali Czesi. Jeden z plutonów KBW maszeruje nad granicą na swój odcinek leżący na południowy zachód od Wetliny. Czasu na przemarsz było niewiele, toteż żołnierze szli szybkim krokiem i w milczeniu.

Kiedy doszli już niemal do miejsca, od którego mieli rozwinąć się w łańcuch placówek, nagle wyrósł przed nimi długi rząd drutu kolczastego.

— Myny!

Rzeczywiście, wzdłuż zardzewiałych pasm drutu sterczały tablicz-

ki z rosyjskim napisem ostrzegawczym.

Myny były jeszcze niemieckie i pochodziły z czasów walk frontowych. Oddziały IV Frontu Ukraińskiego w pościgu za hitlerowcami nie zdążyły ich unieszkodliwić i poszły naprzód, zostawiając tylko tablice ostrzegawcze.

Stropieni żołnierze zbili się w grupkę i patrzyli wyczekująco na swego dowódcę, który przyglądał się odrutowanej przestrzeni. Ale oficer zastanawiał się krótko. Pole minowe ciągnęło się hen daleko, na kilka kilometrów, ominąć go opóźni przybycie plutonu na miejsce. Rozkaz zatem nie zostanie wykonany na czas i jakaś banda może swobodnie przejść przez lukę w zaciągniętej sieci. Nie ma więc wyboru — trzeba iść przez miny.

— Słuchajcie chłopcy — idziemy na przelaj. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Tam gdzie jest mina, trawa jest bardziej żółta niż w innych miejscach, można więc przy należytej ostrożności ominąć to paskudztwo. Ja idę pierwszy, a wy krok w krok dokładnie po moich śladach. Patrzcie pilnie, utrzymać dystans i stąpać dokładnie po tych samych miejscach co i poprzednik.

Po chwili długi wąż postaci w zielonych mundurach ostrożnie przesuwiał się przez niebezpieczne pole. Na czele szedł podporucznik, pilnie obserwując każdy szczegół terenu. Od niego, tylko od niego zależało życie żołnierzy i bezpieczne doprowadzenie ich na miejsce. Kiedy przeszedł wreszcie na „suchy grunt”, obejrzał się. Długi rząd żołnierzy, podnosząc wysoko nogi,

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Kabewiacy w walce

(Ciąg dalszy ze str. 3)

dochoził także do bezpiecznego miejsca.

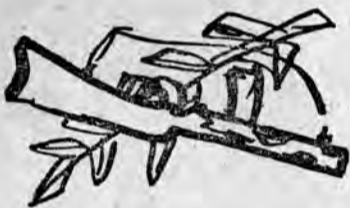
Stanowiska pluton zajmował tuż przed zmierzchem. Ledwie żołnierze zdążyli się jako tako urządzić a już na lewym skrzydle plutonu wybuchła strzelanina. Jakaś bandycka grupa usiłowała przerwać się na północ. Pluton odparł jednak atak i odrzucił przeciwnika. Rozkaz wykonano.

Dowódca w tej wyprawie, tym który pierwszy przeszedł przez miny był ppor. Czesław Stopiński, poznaniak spod Mogiła, członek PPR od lutego 1945 roku. Na pierwszy apel partii wstąpił do wojska, skończył szkołę podoficerską, potem oficerską, następnie dowodził w wielu akcjach przeprowadzanych przez KBW na terenie całego kraju.

ŚMIERĆ PROWIDNYKA „STIAH”

Po walkach na południu, oddziały wojsk wewnętrznych przeszły w 1947 roku na północno-wschodnie tereny naszego województwa, w przemyskie i lubaczowskie. Z końcem lata szykowało się tu właśnie duża akcja, której celem było zlikwidowanie krajowego kierownictwa OUN — Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Zdobyto właśnie informacje o terenie, na którym miał być bunkier OUN, otoczono go i poszukiwano wejść do kryjówki.

Lasy monasterskie, bo tam znajdował się bunkier, otoczono



pierścieniem wojsk. Kilkakrotnie bandyci nocą usiłowali przedrzeć się na zewnątrz, kilkakrotnie chcieli przyjąć im z pomocą inne oddziały UPA, znajdujące się na zewnątrz pierścienia wojsk, ale bezskutecznie.

Samego bunkra nie można było jednak długo wykryć. Na jego trop wpadł dopiero pewnego dnia sprowadzony z Lubaczowa milicyjny pies. Grupa oficerów i żołnierzy ruszyła właśnie w tym kierunku, gdy nagle kilka kroków od niej krzak zielonego jałowca wyrzucił jakby czarodziejską siłą odskoczył w górę, a spod niego wychyliła się głowa bandyty i lufa pistoletu.

tu maszynowego, która skierowała się na idących.

Jednak żołnierz z grupy szturmowej, szeregowy Mieczysław Skowron, był szybszy. Nim bandyta zdążył nacisnąć spust, co oznaczało śmierć idących o kilka kroków odeń i niczego nie spodziewających się ludzi, zaterkotała seria automatu Skowrona i upowieć zwał się w dół.

Wojskowi padli na ziemię, by ustrzec się od dalszych niespodzianek. Skowron starym nawykiem odgarnął właśnie liście, by przygotować sobie stanowisko, gdy nagle odkrył, że leży na idącej w głąb ziemi rurze i odskoczył w bok.

— Uwaga! — krzyknął — tu są otwory idące do bunkra! Nie kładźcie się na nich!

Ledwie to powiedział, a już szła w górę seria z pistoletu maszynowego, a za nią następne. Bunkier ożył.

Po krótkiej strzelaninie oficerowie jeli wzywać bandytów do poddania się. Tamci po dłuższych pertraktacjach zażądali rozmowy z jakimś starszym oficerem. Kiedy ten jednak podszedł w pobliże otworu, dał się słyszeć wybuch dwu min. Bandyci, którzy uprzednio zaminowali cały teren, chcieli w ten sposób wysadzić w powietrze swoich przeciwników i uciec w zamieszaniu.

Plan jednak zawiódł, gdyż z całego skomplikowanego systemu min wybuchły tylko dwie, nie wyrządzając nikomu szkody. Kiedy w kurzu i dymie wydobywającym się z wylotu bunkra ktoś usiłował wydostać się na powierzchnię, seria z automatu Skowrona, który szczególnie pilnował tego miejsca znów uderzyła tę próbę.

Z podziemi rozległy się przekleństwa i okrzyki w języku ukraińskim. Na ponowne wezwanie do poddania, bunkier odpowiedział plugawymi wyzwiskami.

Poszły więc w ruch rakiety i granaty. W bunkrze wybuchł pożar. Dały się słyszeć jakieś detonacje.

Następnego dnia przystąpiono do rozkopywania terenu. Znalezione trupy trzech zastrzelonych przy próbie wyjścia bandytów. Trafiono na gabinet, z którego wydobyło trupa krajowego providnika OUN Jarosława Starucha — pseudonim „Stiah”. Najprawdopodobniej popełnił on samobójstwo przez zażycie trucizny. W sąsiednich lochach leżały trupy jego współpracowników. W ręce żołnierzy wpadła część archiwum OUN, którego załoga bunkra nie zdążyła spalić.

WITOLD SZYMCHYK

Dr MARIAN STUPNICKI — reżyser i aktor Teatru „Fredrum” w Przemyślu.

rys. J. Sienkiewicz



Arlekin i jego powiedzonka

Bawili i rozweselali publiczność do łez. Nie troszczyli się o formy estetyczne, bo w ciągłej walce o swoją egzystencję, musieli robić wszystko, żeby podobać się publiczności. No i podobali się. Wędrowali od miasteczka do miasteczka, zdobywając sławę i rozgłos. Rozśmieszali nie tylko lud, ale także ludzi uczonych i wykształconych. Cała Europa przyjmowała gościnnie komediantów włoskich, a Paryż stał się ich główną kwatery. Była to druga połowa XVII w. Podziwiali ich także dwór carcy Anny Iwanowny w Petersburgu: Dwaj starcy — Pantalon i Doktor, Pierwszy i Drugi Zanni, czyli komicy pokojowi — Arlekin i Brighella, Kapitan, Pierwszy i Drugi Amant, Pierwsza i Druga Dama oraz Subretka — oto główne postacie występujące w komedii dell'arte.

Po włosku arte, to nie tylko sztuka, ale także: umiejętność wykonania, zawód, korporacja.

Zresztą o komedii dell'arte można by pisać wiele, o źródłach jej powstania, wpływie, jaki wywarła na teatr, o latach rozkwitu i zmierzchu. Chodzi jednak o to, żeby naszych czytelników zapoznać z niektórymi powiedzonkami, którymi Arlekin bawił ze sceny publiczność, a które jeszcze dzisiaj nie straciły ze swego blasku. A więc kurtyna w górę...

O STAROŚCI

Prószę zwyczajnych pleców zmysłów starcy mają jeszcze trzy: zmysł kasku, zmysł dyskutowania i zmysł zręczenia.

ZONATY Z MAŁĄ KOBIETĄ

Ona jest mała, ale przynajmniej dla innych nie jest. —

GDY PYTAJĄ O TWÓJ ZAWÓD

Wykonuję zawód mój tak rzetelnie, że ten, kogo obsłużę, nie mógł się na mnie skarżyć. — Jakże więc jest twój zawód? — Do usług, robię tłumny.

NIEŚLUBNE DZIECKO

Zakazana książka wydana bez uwzględnienia cenzury.

MIŁOŚCI NIE MOŻNA ZATAIĆ

Nie można zataić miłości, podobna jest do dziury na czarnej pończosze.

NIE TRZEBA BAC SIĘ ŚMIERCI

Najcudowniejszy kontrakt został zawarty między nami a śmiercią: Kiedy tu jesteśmy, nie ma śmierci. Kiedy tu jest śmierć, to nas już nie ma. W ten sposób unika się nieprzyjemnych spotkań.

SZPADA TCHÓRZA

Jego szpada jest, jak enotliwa dziewczyna: wstyd jej pokazać się nago po raz pierwszy.

KOBIETY NIE MOGĄ MILCZEĆ

Gdyby kobiety dla ozdoby używały nie tylko szminki, ale także skromności i wierności, byłyby tak kwaśne jak ogórki.

PROCESY

Z dwóch procesujących się, ten co przegrał — jest goły, a ten co wygrał ma tylko koszulę. Szaty adwokatów utkane są z jedwabnych nici uporu pieniaczy.

DOBRE PROWIANTY

Wczorajszy chleb, dzisiejsze jajko, mięso rożniaka, dwuletnie wino, trzyletnia ryba, kobiety poniżej dwudziestki.

Ta strawa zaspokaja głód. I poirzebuje jej nawet ten, Co już nie ma zębów, ani nie jest młody.

Opracował (ap)

Zdarzenia tygodnia

W końcowym stadium organizacyjnym znajduje się wystawa prac uczestników konkursu plastycznego pod hasłem „Ziemia Rzeszowska w minionym i teraźniejszym”. Ekspozycja, która prawdopodobnie umieszczona zostanie w hali Teatru im. W. Sienkowskiej — składać się będzie z 52 obrazów ponad 20 artystów plastyków.

Ostatnio w Dusznówce zorganizowano szóstą w województwie rzeszowskim Klubu Inteligencji Wiejskiej. Kluby istnieją już w Trzcielanie, Dąbrowie, Zalesiu, Borku, Starym i Wądrowie. Związek Młodzieży Wiejskiej do końca lutego 1962 r. zamierza powołać do życia dalszych 16 klubów.

Zakładowy Dom Kultury WSK w Rzeszowie przygotował wiele zajęć i niespodzianek dla dzieci i młodzieży na okres ferii zimowych. Od 24 bm. do 6 stycznia 1962 r. w licznych zabawach, przedstawieniach i konkursach będzie mogło wziąć udział 10 tys. dzieci z Rzeszowa i zaproszone grupy młodzieży z okolicznych wsi. W okresie noworocznym pracownicy ZDK WSK zorganizują dla milusińskich łącznie 47 imprez.

Rzeszowski Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej przygotowuje Krajowy Zjazd Młodych Pisarzy. Zjazd odbędzie się w dniach 13 i 14 przyszłego miesiąca. Według wstępnych przeliczeń, do Rzeszowa przybędzie około 80 młodych pisarzy z 9 ośrodków literackich Polski.

Uroczyste obchody XX rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej organizują wszystkie zakłady pracy, przedsiębiorstwa, instytucje i organizacje społeczne. W ramach tych obchodów odbył się w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie odczyt mgr A. Günthera z Krakowa. Prelegent mówił o muzeach historii ruchu rewolucyjnego w Polsce. Placówki tego typu posiadają m. in. Warszawa, Kraków i Łódź.

W dniu 21 bm. staraniem Wydziału Kultury Prez. WRN odbyła się narada kierowników wydziałów kultury prezydentów powiatowych rad narodowych oraz dyrektorów instytucji artystycznych naszego województwa. W czasie narady przeanalizowano warunki, w jakich odbywają się imprezy artystyczne i opracowano wytyczne mające na celu polepszenie sytuacji w tej dziedzinie.

W pierwszych dniach stycznia przyszedł do Rzeszowa pierwszy nabożeństwo kulturalno-oświatowe. Będzie miało miejsce w „Książki i Wiedzy”. Salon urządzony zostanie w lokalu mieszczącym się u zbiegu ulic 3 Maja i Jagiellońskiej. Nabyć tu będzie można najnowsze książki oraz zapoznać się (przy czarnej kawie) z wydawnictwami KIW.

Czwarte miejsce w skali krajowej wraz z nagrodą pieniężną uzyskała załoga Księgarni Domu Książki w Stalowej Wolki w konkursie na wystawę popularyzującą książki Państwowych Wydawnictw Naukowych. Zespół wyróżnionej księgarni stanowią: Wiesława Kozioł, Anna Rumińska, Gracjana Sieniczak i kierowniczka Barbara Łapińska.



ZE ZBEDNYM pościem zbiegam po schodach... Unoszę w pamięci urwki zdań, usłyszy tam, na górze...

Leżę co minione zajście przysłało we mnie na myślenie, rozstąpiło się niby mławy sen...

Ale oto nabiera ostrości, osacza przylatującą, niejako zawisa przed moimi oczyma...

Cale wakacje nie widziałem Teresy. — Rozłąka wzmacnia uczucia.

Wbiegam lekko po schodach, zatrzymuję się u drzwi i umówionym sygnałem dzwonka wywołuję jej ciche kroki, które słyszę dokładnie, oczekując odemknienia. Zaraz ją ujrzę. Przepiętna mnie radosne zaniepokojenie.

Przywieram do niej.

Wchodząc do jej pokoiku. Na stole i na tapczanie leżą różne przedmioty, beładnie rozrzucone. Teresa dopiero dzisiaj przyjechała z domu i zaledwie zdążyła rozpakować swoje rzeczy. — Przewidziałem jej przyjazd, pojawiam się u niej pierwszy.

Z beztróską opowiadam o tym jak radośnie mnie jej listy, jak cieszyło i nasycalo rozmarzeniem myślenie o niej, jak spędzałem wakacje. Nie pozwalałem jej za wiele mówić.

W pewnej chwili zauważam, że Teresa poskramia moją wesołość po-

wściągliwym zachowaniem. Bez trudu poznaję, iż ukrywa przede mną jakąś tajemnicę, przemilcza coś, co ją może zasmuca i męczy.

Proszę Teresę o wyjawienie mi swoich myśli. Nalegam coraz natarczywiej. Na próżno. Z jej obejścia i niktłych wypowiedzi wynuwać domysł, że ona nie jest obrażona, tylko zobojeźniała wobec mnie, oziębła.

Pomimo to przemawiam do niej ta godnie, bronię się jeszcze przed jej jawną wzgardliwością. Wreszcie milknę. Dalem się zahukać. Siedzę i odmierzam trwanie każdej sekundy.

Naraz uprzytomniam sobie: jestem dla niej natrętem. Jej uczucia dla mnie gdzieś się rozwiły. — Czyżbym utracił ją w wyniku oddalenia? Nie, tylko sam czas rozłąki tak wiele zepsuł.

Opuszczam na zawsze Teresę. Podaję jej rękę, bez słowa.

Wyczuwam u niej wahanie. Może nie przypuszcza, że ja już bezpowrotnie odchodzę.

Postępuję do drzwi, otwieram je, i staram się jak najprędzej znaleźć poza nimi.

Przyczynę winy pozostawiam bez rozwiązania; prawie nie jestem jej ciekaw...

Ale teraz to wszystko ujmuję chyłkami moim krokom.

PIOTR NIE PALI, więc rozłącamy się w foyer; on udął się do bufetu, po słodycze. W palarni wszystkie krzesła są zajęte.

Staję przy ścianie, w odpowiednim oddaleniu od osób usadowionych przy pobliskim stoliku; nie chcę, aby posądzano mnie o przysłuchiwanie się ich rozmowie.

Zapalam papierosa.

Nieoczekiwanie spotykam się wzrokiem z Teresą.

Zdążyłem się jej ukłonić zanim zdolała uniknąć mojego spojrzenia. Towarzyszącym Teresie osobom nie uszło jej lekkie zakłopotanie. One dobrze widziały końcowy moment odważenia przez nią mojego ukłonu. To wystarczyło.

Nie spodziewałem się wnieść takiego poruszenia do ich grona.

Poprzednia swoboda, jaką miałem możliwość — przez mglenie — zaobserwować, przysła. Zbyt szybko za-

Ich kółko zacieśnia się. Ona tymczasem zmieniała do mnie front; teraz widzę tylko jej plecy.

Niewątpliwie rozmawiają na mój temat. Stuchają Teresę, która oczywiście mówi o mnie co innego niż należałoby mówić. Tym razem moja podejrzliwość prowadzi chyba do słusznego domysłu.

Przypominam sobie jak niegdyś, podczas burzy, w porze bliskiej północy, staliśmy przy otwartym oknie, złączeni uściskiem. Błyskawice oświećtały, raz po raz, nasze twarze. W czasie migania błysków jasności patrzyliśmy na siebie, przylapując się nawzajem na objawach zalekniecia. Była to zabawa równie zachwycająca jak groźna. Aż nagle strzelił piorun, tuż obok domu! Przerazeni skryliśmy się w przeciwny kąt pokoju. — Odtąd, ilekroć widzę Teresę, zawsze unaczniem sobie te scenkę. Czy ona także ją zapamiętała?



pragnęli się wyżyć uwidocznione go już zaniepokojenia, którego stałem się powodem. Nie potrafili powrócić do tamtej naturalności ani przybrać, na nowo, niewymuszonej prostoty dla dobrego zachowania pozorów.

Trudno jest w tej sytuacji lawirować Teresie, bo osaczają ją — jak przypuszczam — mąż i teściowie.

Małżonek Teresy i jego rodzice, nie przestając słuchać jej opowiadania, starają się niezwłocznie sprawdzić rzeczy zastyszane na żywym obrazie, to znaczy na mnie. Każda z tamtych osób (z wyjątkiem Teresy, która nie spoglądała więcej w moją stronę), pragnie przeniknąć mnie wzrokiem, każdą dręczący potrze-

ba przyjrzenia się najdrobniejszym szczegółom mej postaci.

Nie mogę pozwolić, aby mi się przyglądali z tak zachwiałą śmiałością!

Jednym uśmiechem, lub złośliwym grymasem twarzy, mógłbym zniwelować zabiegi Teresy i zasiać w tej grupie niepewność, narzucić niepokój...

Uśmiecham jednak i zażegnuję ten lichej zamysł.

Odpieram jedynie, po kolei, ich spojrzenia. Teściowa, mąż, teść odwracają ode mnie głowy ze sztywnością kukielek.

Teresa, zaraz po zawarciu małżeństwa, wyjechała w podróż poślubną, nie zdążywszy usprawiedliwić Januszowi, pierwszemu narzeczonemu, nieobecności na spotkaniu w dniu poprzedzającym dzień jej ślubu. Zastępstwo odbyły się szybko i w tajemnicy. Drugi młodzieniec stanowił świetną partię, lepszą od Janusza. A pomyśleć, że z Januszem zaręczyła się pierścieniem, w którym na miejscu oczka, był miniaturowy wizerunek Madonny. Ten pierścionek widziałem na jego palcu. Już wtedy, na pierwszą rzut oka, przypomniał obrączkę. Ale ja pamiętam go jeszcze z tego okresu, kiedy nosiła go Teresa. Wówczas emalia nie była wytarta.

W drzwiach, z przeciwnej strony, pojawia się Piotr. Jego droga prowadzi obok Teresy. Właśnie teraz jej się kłania.

Gaszę niedopałek papierosa.

— Widziałeś Teresę z mężem i teściwami? — zapytuje Piotr.

— Tak — odpowiadam i kieruję się ku wyjściu z palarni.